

Yukio
Mishima

Słońce i stal

przełożył Maciej Piotr Komorowski



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Od pewnego już czasu wyczuwam w sobie nagromadzenie wszelakich emocji, których nie sposób wyrazić za pomocą obiektywnej formy sztuki, czyli powieści; młody poeta liryczny mógłby zapewne temu wyzwaniu podołać, ja jednak, co przesądza sprawę, nie mam już dwudziestu lat, a i nigdy żadnym poetą nie byłem. Po omacku zatem szukałem odpowiedniego kształtu – czy to wyznania, czy to eseistycznego komentarza – dla takich zwierzeń, aż w subtelnie niedopowiedzianej przestrzeni między tymi dwoma gatunkami odnalazłem coś, co zwać by można „spowiedzią krytyczną”.

Postrzegam owo coś jako pełną szarości przestrzeń między nocnym mrokiem wyznania a południowym blaskiem literackiego eseju. Forma „ja”, której będę tu używał, nie odnosi się *stricte* do „ja”, którym zwykłem określać samego siebie, ani nawet do słów przeze mnie wypowiedzianych, które na powrót wpływają do mojego wnętrza, lecz niejako do resztki, osadu z tego wszystkiego, co już do mnie nie wraca ani do mnie nie przynależy.

Rozmyślając nad naturą owego „ja”, doszedłem do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak uznać przestrzeń zajmowaną przeze mnie samego za obszar najprecyzyjniej się do tego „ja” odnoszący. To właśnie języka

ciała poszukiwałem. Gdyby przyrównać „ja” do domu, ciało byłoby otaczającym go owocowym sadem. Mógłbym ów sad pieczołowicie pielęgnować albo pozostawić samemu sobie pleniące się w nim chwasty. Była w tej możliwości wyboru moja wolność, nie całkiem jednak łatwa do pojęcia. To dlatego wielu ludzi stan swojego przydomowego ogrodu zwykło nazywać „losem”.

Zrozumiałem to w pewnym momencie i otoczyłem swój sad troskliwą opieką. Użyłem do tego słońca i stali. Nieustające promienie słoneczne i stalowe lemieszce stały się najistotniejszymi elementami mojej pracy. A gdy ogród zaczął rodzić owoc po owocu, cielesność zajęła pokazną część mojej świadomości.

Zmiana, rzecz jasna, nie zaszła w jeden dzień. Rozpoczęła się jednak nie bez poważnych przyczyn.

Gdy rozmyślałam o dzieciństwie, zauważyłam, że pamięć słów sięga w moim przypadku o wiele dalej niż pamięć ciała. U zwykłych ludzi wpieryw pojawia się chyba ciało, a dopiero potem słowo; u mnie jednak pierwsze było słowo, a później, znacznie później, jakby z ogromną niechęcią, wyłoniło się ciało – już spętane conceptami, oczywiście przeżarte przez słowa. Najpierw mamy zazwyczaj zdrowy pień, który przyciąga termity, ale u mnie jako pierwsze pojawiły się one same, a następnie zarysował się powoli kształt na wpół już wyniszczonego drzewa. Niech Czytelnik się nie zżyma, że przyrównuję słowa do szkodników – w końcu to na nich oparłem swój zawód. To słowa decydują o jakości dzieła – tak jak kwas za sprawą swych żrących właściwości trawi miedzianą płytę i przemienia ją w akwafortę, tak też słowa powodują korozję naszej rzeczywistości, a my wykorzystujemy to, przekuwając je w sztukę.

Jest to jednak niewystarczająco precyzyjna metafora – o ile bowiem kwas azotowy i miedziana płytka są elementami wywodzącymi się z natury i przez to sobie równymi, o tyle relacja słów z rzeczywistością jest zgoła inna. Słowa pełnią rolę medium, które przewodzi do naszego umysłu abstrakcyjny ekstrakt rzeczywistości, co nieodzownie pociąga za sobą nie tylko korozję rzeczywistości, lecz także ryzyko zepsucia samych słów. Zdaje się więc, że lepszym porównaniem byłby tu żołądek, który nadprodukuje soki trawienne, w końcu przeżera sam siebie.

Wielu ludzi może wątpić, że taki proces zachodzi u kogoś już w dzieciństwie. Tak jednak było w moim przypadku – dramatyczne przeżycia stały się fundamentem dwóch sprzecznych tendencji, które u siebie odkrywam. Jedną jest wierne podążanie zracym szlakiem słów, co postanowiłem uczynić swoim zawodem, drugą – pragnienie wyjścia naprzód rzeczywistości na terenie, do którego słowa nijak nie przynależą.

W zdrowym, by tak rzec, procesie, nawet u najbardziej utalentowanego pisarza, oba te dążenia nie pozostają w sprzeczności, tylko wzajemnie się dopełniają. Doskonaląc się w używaniu słów, zadziwiająco trafnie odkrywamy rzeczywistość na nowo, co niejednokrotnie przynosi wiele radości. Jeden jest tylko warunek umożliwiający takie ponowne odkrycie – posiadanie cielesności niezbrukanej słowem na wczesnym etapie życia, a to, muszę przyznać, nie przypadło mi w udziale.

Nauczyciel japońskiego musiał marszczyć brwi, czytając moje fantazyjne wypracowania – nie było w nich bowiem słów odnoszących się do rzeczywistości. Od najmłodszych lat, nieświadomie przeczuwając subtelną

drobiazgowość języka, korzystałem wyłącznie z pozytywnego efektu wytrawiania słów, by uniknąć wytrawiania negatywnego... Mówiąc prościej: by zachować niewinność słów, postanowiłem w miarę możliwości unikać kontaktu z rzeczywistością za ich pośrednictwem. A więc uaktywniłem tylko swój zmysł trawienia pozytywnego i tak poruszałem się po świecie, by uniknąć przypadkowego zetknięcia się z przedmiotami wytrawiania. Tak, można chyba powiedzieć, że w ten sposób to sobie wyobrażałem.

Naturalną reakcją na tę tendencję było otwarte uznanie istnienia ciała i rzeczywistości w przestrzeni, do której słowa nie mają dostępu – ciało i rzeczywistość stały się przez to synonimami, obiektami mojego niemal fetyszystycznego zainteresowania. Tego rodzaju fetyszym dokładnie odpowiadał mojemu fetyszymowi słów. Ten z kolei począł się bezwiednie z poszerzenia mojego zainteresowania słowem. Z początku umiejscawiałem siebie ewidentnie po stronie słów, po drugiej stronie stawiając rzeczywistość, cielesność i działanie. Na skutek tej antynomii, celowo sformułowanej w taki sposób, postępowało moje uprzedzenie wobec słów, a jednocześnie nabrały na pewno kształtów moje iluzje co do natury rzeczywistości, ciała i działania. Antynomia ta opierała się na założeniu, że od samego początku pozbawiony byłem tych trzech elementów.

W istocie – cielesność pojawiła się w moim życiu dość późno, a ja powitałem ją gotowymi już słowami i niewykluczone, że z powodu opisanej wcześniej tendencji nie postrzegałem jej jako „mojego ciała”. Gdybym to uczynił, utraciłbym czystość słów, skałałaby mnie rzeczywistość, której nie sposób byłoby już unikać.